

O RUCHU OPORU W FÜNFTTEICHEN

Transport kolejowy do obozu Gross-Rosen liczył na st. kol. Radom ok. 30 wagonów towarowych okratowanych, w tym "więźniarka", specjalny wagon do przewożenia więźniów. Załadowano mnie 17 maja 1944 r. do tej właśnie "więźniarki", w której jechało już z innej stacji, prawdopodobnie z Dębłina, 5 wyższych oficerów radzieckich w mundurach. Do Gross-Rosen dojechaliśmy 20 maja 1944 r. Było nas w tym transporcie ok. 1500 więźniów. Na ulicach miasteczka nie było ani jednego człowieka; mieszkańcy przyglądali się nam z ukrycia, zza firanek w oknach.

W samej centrali obozu Gross-Rosen przebywałem tylko tydzień, pracując w kamieniołomach. Korzystając z ogłoszonego werbunku do fabryki, podałem się za ślusarza i ok. 27 maja wyjechałem na komando do Fünfteichen, gdzie pozostałem do 27 stycznia 1945 r. /może do 25 stycznia - nie pamiętam dokładnie/. W centrali Gross-Rosen spotkałem się z kilkoma znajomymi z konspiracji, w tym: z Włodzimierzem Chojnackim z Garbatki k. Radomia, studentem medycyny, który po 3 latach pobytu w Oświęcimiu został tu przeniesiony, na tzw. rewir, jako pielęgniarz. Po powrocie z obozu uzyskał w ciągu roku dyplom lekarza w Krakowie. Ze Sławkiem Łuczynem, synem fotografa z Garbatki k. Radomia, który później był również ze mną w Fünfteichen. Był to chłopiec w wieku 19 lat. Z Pawłem Morgaźło, z którym w roku 1939 wyruszałem na front w składzie 9 pp leg. Zamość, a który niestety teraz pełnił w obozie funkcję blokowego na bloku tzw. Gamli /inwalidów/ i znany był jako "krwawy Paul". Mordował bowiem własnoręcznie więźniów, w tym również mojego byłego dowódcę z 9 pp leg. Zamość, mjr. Fieła. Ponadto zetknąłem się z Budulskim /imienia nie pamiętam/, późniejszym prezydentem miasta Radom. Z jego siostrą Ireną Budulską przebywałem w więzieniu gestapo w Radomiu /została zesłana razem z naszym transportem i wywieziona 17 maja 1944 do Rawensbrück/. Natomiast w Fünfteichen byłem ze Zbigniewem Szczepaniakiem /lub Szczepańskim/ i z wspomnianym wyżej Sławkiem Łuczynem z Garbatki. Innych więźniów znałem tylko z imion. W październiku 1944 poznałem przez naszą obozową konspirację zorganizowaną przez pułkownika Hynka, słynnego przed wojną baloniarza. Przyjechał transportem "zugangów" z Montelupich, w Krakowie nosił trupy z rewiru/. Nigdy nie przyjął żadnej pomocy od współwięźniów. Był bardzo ambitny. Przez niego próbowałem listownie zawiadomić rodzinę, gdzie jestem, gdyż sam, mając tzw. postsperę, nie mogłem ani wysyłać listów, ani otrzymywać paczek.

Nie pamiętam dokładnie numeru bloku w Fünfteichen ani nazwiska blokowego. My nazywaliśmy go "Ferdynand". Pamiętam jednak dokładnie jego wygląd: tęgi, opasły Niemiec o czerwonej twarzy, z usposobienia choleryk, znany w obozie pederasta. W złości zabijał więźniów. Na sąsiednich blokach byli Polak Nowakowski z Radomia i Niemiec z zielonym winklem, znany u nas "Al Capone", najbardziej ceniony przez esesmanów.

W Fünfteichen działała skutecznie organizacja podziemna, do której od początku należałem. Zadaniem jej było zdobywanie wiadomości frontowych i podtrzymywanie na duchu załamujących się więźniów. Jak wiadomo, w obozie panowało wieczne milczenie, które działało deprymująco nawet na silnych psychicznie. Postanowiliśmy

i na tym odcinku zadziałać. Z mojej inicjatywy w dniu 15 sierpnia, a więc w Święto Wojska Polskiego, wyszliśmy na apel poranny o kilkanaście minut wcześniej i po raz pierwszy zaśpiewaliśmy wojskową pieśń modlitewną "Pod Twoją Obronę". Już następnego dnia poszły naszym śladem dwa najbliższe bloki. Śpiew było słychać w całym obozie, a mimo to, ku naszemu zdziwieniu, nikt z Niemców nie zareagował, natomiast nastrój w całym obozie wyraźnie się poprawił. Pod koniec tygodnia już prawie wszystkie bloki również śpiewały na apelu wieczornym "Wszystkie nasze dzienne sprawy". Wreszcie zainteresowali się tym esesmani. Wyczytano trzy numery na apelu porannym, w tym również mój Nr 36057, oświadczając, że zostajemy na bloku a potem jedziemy do krematorium do Gross-Rosen. Może to dziwne, ale wyszedłem z szeregu raczej z radosnym wyrazem twarzy i wtedy podbiegł do mnie esesman i, kopnąwszy kilka razy, kazał wstąpić do szeregu. Na bloku wieczorem otrzymałem od blokowego 10 pałek i kilka kopniaków, po których chorowałem.

W Günfteichen pracowałem w zakładach Kruppa "Bertha Werke" jako ślusarz na montażu armat od ok. 25 maja 1944 do 27 sierpnia 1945 r., w tym pobyt na rewirze od 26 grudnia 1944 do ok. 27 stycznia 1945 r. Jak mi się wydaje, na hali fabrycznej, jednej z kilku w zakładach Kruppa, pracowało wraz ze mną około 2000 heftlingów i około 500 pracowników cywilnych. Z obozu do fabryki było około 3 km drogi. Z pobytu w fabryce zapamiętałem wizytę Kruppa /chyba Alfreda/ w otoczeniu licznej generalieji. Krupp był wtedy w białym mundurze. Od tego dnia dostawaliśmy pajdkę chleba więcej, a także wydano nam czapki bawełniane - pilotki zamiast obozowych beretów. Na moim sztyfie-montażu pracowało najwięcej oficerów radzieckich. Byli oni prawdopodobnie w kontakcie z wywiadem, Niemcami nadzorującymi pracę i chyba przekonani lewicowych, gdyż przez nich otrzymywaliśmy zawsze wiadomości frontowe, i to prawdziwe. Na naszym sztyfie dzięki przyjaznym stosunkom rosyjskich heftlingów z majstrem, który według mnie musiał być komunistą, oficerowie radzieccy otrzymywali w drodze wyjątku na fabryce zupełną, pozostałą w kotłach pracowników cywilnych.

Pracując w konspiracji obozowej byłem jednym z organizatorów ucieczek głównie z fabryki, a nie z obozu. Ucieczki organizowane były dla indywidualnych więźniów lub dla grup 3-4 osobowych. Do pewnego czasu udawały się ucieczki w załadowanych wiórami stalowymi pociągach, w odkrytych wagonach. Wióry ładowali ochotniczy więźniowie, a nadzorowali esesmani. Korzystając z ich nieuwagi, więźniowie wskakiwali na wagony, a pozostali szybko zakrywali ich wiórami. Esesmani sprawdzali wagony przed wyjazdem z hali tylko z wierzchu. Dzięki temu udało się uciec kilkunastu więźniom politycznym /wyłącznie/. Ta najłatwiejsza droga ucieczki została jednak wkrótce wykryta. Inne ucieczki, pojedyncze, to wyjścia kanałami CO /miały prefabrykowane płyty wierzchnie/ głównie w czasie alarmów lotniczych. Przez tych uciekinierów, którym udało się zbiec na początku wagonami, nawiązaliśmy kontakt z Polakami we Wrocławiu. W miesiąc potem dowiedzieliśmy się od pracowników cywilnych, że gestapo wrocławskie szaleje, gdyż ktoś podszył się pod ich "szyld" i samochodem wjechał w mundurze oficera gestapo na teren fabryki, przedstawiając na piśmie żądanie wydania 4 więźniów /konkretnie nazwiska/, rzekomo na przesłuchanie. W tej sprawie dochodzenia na naszej hali jednak nie było, przynajmniej wśród więźniów.

Do ucieczek nieudanych należały głównie desperackie ucieczki z obozu przez druty lub w czasie przemarszu do fabryki. Z reguły

kończyły się one zastrzeleniem uciekającego. Trupa rozbierano potem do naga, wieszano na bramie obozu z kartką na piersiach "Ich bin wieder da" i kazano nam przed nim defilować przy dźwiękach orkiestry obozowej.

Od ok. 2-3 sierpnia nikt nie odważył się w obozie nie tylko zaśpiewać, ale nawet głośno mówić. Wreszcie niespodziewanie 24 grudnia rano Niemcy sami przynieśli na nasz blok choinkę. Myśleliśmy, że to prowokacja, ale sprawdziliśmy, że na innych blokach też były choinki. W tym dniu pracowaliśmy w fabryce na nocnej zmianie. Zebraliśmy się więc pod choinką /wszystkie narodowości/ na godzinę przed apelem wieczornym i rozpoczęliśmy śpiewać kolędy: najpierw Polacy, potem inni i wreszcie Niemcy zaśpiewali swoją "Stille Nacht". Blokowy był niemal kompletnie pijany i śpiewał najgłośniej.

Gdy mieliśmy już iść do pracy, ktoś z nas zaczął, a wszyscy ryknęli pełną pierśią "Jeszcze Polaka nie zginęła". Nikt z Niemców nie zareagował, choć wiedzieli, że wszyscy Polacy, śpiewając, płaczą. Ktoś jednak doniósł o tym do SS. W pierwszy dzień po świętach przyszło ich dwóch na nasz blok. Blokowy zrobił zbiórkę całego bloku, na środku sali postawił taboret, kazał mi się położyć i liczyć uderzenia pałką do 25 razy. Jak się później dowiedziałem od kolegów, doliczyłem do 17 i zemdlałem, a mimo to blokowy bił mnie dalej. Potem, rozebranego do naga, bez znaku życia, wywieziono mnie na podwórze przy rewirze i wyniesiono na stos trupów oczekujących na transport do krematorium. Rano przyszli leichentregerzy, w większości Żydzi - lekarze węgierscy z ostatniego zugangu oraz kilku innych, a wśród nich również pułkownik Hynek, i zaczęli ładować trupy na samochód ciężarowy. Hynek, widząc, że ja żyję, porozmawiał z lekarzem węgierskim i razem wynieśli mnie na rewir, na salę tzw. lungenentzündung /zapalenie płuc/. Tu ten sam lekarz zrobił mi autochemoterapię, czyli przestrzyknięcie mojej własnej krwi, i tak przeleżałem do ok. 21 stycznia 1945 r., kiedy to dowiedzieliśmy się, że obóz będzie ewakuowany i że chorzy z rewiru mogą udać się też na ewakuację. Nikt jednak nie poszedł, gdyż to byli już dogorywający więźniowie. Przez kilka następnych dni dawano nam tylko raz dziennie zupę, aż wreszcie ok. 25 stycznia zjawili się w rewirze żandarmi obwieszeni granatami. Baliśmy się, że to będzie likwidacja chorych, ale zażądali tylko, by ci, którzy mogą chodzić, zeszli z łóżek do grzebania w śniegu trupów, których stosy leżały przed blokiem rewiru, gdyż nie odwożono ich do krematorium obozu Grosse-Rosen od kilku dni.

Następnego dnia zapanowała w obozie zupełna cisza, ale nikt też nie podał nam już nawet zupy. Trzech z nas wyszło na rekonesans. Doszliśmy aż do kuchni SS, ale i tam nikogo nie było. Wróciliśmy na rewir ze skrzynką marmolady i kilkoma kartoflami, proponując kolegom opuszczenie obozu, gdyż każdej chwili spodziewać się można było powrotu Niemców. Okazało się, że tylko siedmiu może chodzić. Obwijając nogi szmatami /buty odebrano nam przy wejściu na rewir/, wyszliśmy poza druty w głęboki śnieg i wlekliśmy się tak ok. 8 godzin. Nagle usłyszeliśmy serię pocisków nad głowami. Około 200 m od nas stali żołnierze w papachach i wołali po rosyjeku, żeby podejść bliżej. Dowiedziawszy się, że wśród nas nie ma ani jednego ruskiego, wzięli nas za szpiegów niemieckich i posłali pod ściankę. Po dłuższym tłumaczeniu zamknięto nas w piwnicy baraku i postawiono wartownika. Dzięki następującej nocy udało nam się uciec z piwnicy i teraz dopiero zorientowaliśmy się, że idziemy pod front. Unikaliśmy następnych spotkań z żołnierzami,

idąc polami i lasami na Nemslau-Kreuzburg-Rosenberg. Z Nemslau /chyba nasz Namysłów/ szło już tylko nas dwóch w kierunku na Częstochowę. Przy ul. Wieluńskiej, przed wejściem do Częstochowy, zostaliśmy aresztowani, gdyż byliśmy chyba pierwszymi więźniami wracającymi z obozu. Zwolnienie po jednym dniu zawdzięczam koledze, który przed aresztowaniem przez gestapo mieszkał w Częstochowie i którego rodzina udowodniła, że był w Gross-Rosen więźniem politycznym.

2 lutego 1945 r., korzystając z pociągów towarowych, przyjechałem do Radomia do rodziny. Chorowałem potem prawie cały rok.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.20

DZIEŃ PO DNIU

Do transportu ja i więźniowie z całego oddziału VII i innych oddziałów wyprowadzeni zostaliśmy z cel na korytarz więzienia, ustawieni piątkami i powiązani drutami. Nad ranem 29 marca 1944 r. załadowano nas na samochody ciężarowe i przewieziono na dworzec kolejowy Warszawa Zachodnia. Cała trasa od więzienia do dworca kolejowego, była obetawiona esesmanami z psami. Załadowano nas do bydłych wagonów towarowych i po kilku dniach dojechaliśmy do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. W obozie tym, po przebraniu w pasiaki i nadaniu mi numeru obozowego - czerwony trójkąt z literą P nr 26006 - zostałem umieszczony w bloku przejściowym. Numeru bloku nie pamiętam. Na drugi dzień po apelu zabrano nas do pracy w kamieniołomach. Byłem w grupie roboczej, której kapo był Niemiec - kryminalista. Więźniowie nazwali go "Marynarz"; był on okrutnym bandytą w stosunku do swoich "podopiecznych". W krótkim czasie z zakładów Kruppa przyjechali majstrowie w celu naboru zdrowych więźniów do pracy. Ja również zgłosiłem się i zostałem zarejestrowany.

Po przyzyszkowaniu transportu z dużą grupą więźniów dowieziono nas do komanda obozu koncentracyjnego Gross-Rosen w miejscowości Fünftalschen. Tam zostałem umieszczony na bloku 10, gdzie blokowym był Polak, Marian, niski, krępy z ochrypłym głosem. Wraz z innymi więźniami zostałem zatrudniony w filii fabryki Kruppa, która mieściła się około czterech kilometrów od obozu. Praca w tych zakładach była na zmiany dzień i noc po dwanaście godzin na zmianę. Pracowałem tam na maszynie tokarskiej do chwili ewakuacji obozu z powodu zbliżającego się frontu wschodniego. W czasie pracy w tych zakładach miała miejsce w nocy udana ucieczka, w której uciekło kanałami dwóch więźniów - jeden, Marian, z którym się przyjaźniłem, imienia drugiego nie pamiętam. Z chwilą zbliżenia się frontu wschodniego w lutym 1945 r. komando zostało ewakuowane do macierzystego obozu Gross-Rosen, skąd zostaliśmy ewakuowani, tzn. pędzeni pieszo do obozu koncentracyjnego Mittelbau Dora. Po drodze wycieńczeni więźniowie padali, a esesmani dobijali ich, strzelając w głowę. Trupy pozostawiali na drodze. Po przybyciu do obozu Mittelbau Dora i nadaniu mi numeru obozowego P 109841 zostałem umieszczony w bloku, gdzie mieścił się warsztat cerowania skarpet dla hitlerowców. Tu głód był straszliwy. Racje żywnościowe bardzo znikome i raz dziennie. Na drewnianych pryzkach spaliliśmy po dwóch a nawet trzech więźniów. Na tym bloku razem z więźniami mieszkali blokowy i kapo. Blok składał się z dwóch sztab mieszkalnych, warsztatu do cerowania skarpet, w środku bloku był sanitarium z betonowym okrągłym prysznicem do mycia.

Blokowy i kapo w swoich drewnianych skrzynkach mieli jedzenie: chleb, margarynę i kiełbasę. Ja, nie wytrzymując głodu, postanowiłem zabrać im to jedzenie. Zostałem jednak złapany. Za karę w obecności więźniów całego bloku dostałem 25 batów i zostałem skierowany do karnej kompanii w Nordhausen. Było to pod koniec marca 1945 r. Pamiętam, że w obozie Mittelbau Dora miała miejsce ucieczka pięciu więźniów. Daty tej ucieczki nie pamiętam. Więźniów tych złapano i na placu apelowym w obecności całego obozu została wykonana egzekucja przez powieszenie. W karnej kompanii w Nordhausen

Pamiętam, że dotarliśmy do jakiejś wnioski i tam barmanka naj-
pierw nas nakarmiła, a potem oddała w ręce żandarmów. Zostaliśmy
osadzeni w więzieniu w miejscowości Halle, gdzie przebywaliśmy
dwa dni. Potem zostaliśmy odstawieni do transportu kolejowego, w
którym już przebywali inni wyłapani więźniowie. W tym transporcie
kolejowym przebywałem do zakończenia wojny. W dniu 9 maja 1945 r.,
już po zakończeniu wojny, transport został odstawiony do Czecho-
słowacji i przekazany Czerwonemu Krzyżowi w miejscowości Teresin,
gdzie nas wszystkich skierowano do szpitala na leczenie. Po dwóch
miesiącach pobytu w szpitalu Czerwonego Krzyża w Teresinie powró-
ciłem 23 czerwca 1945 r. do Polski.

[illegible]

48

ŻYCIE OBOZOWE W FÜNFTEICHEN

Fünfteichen było największym obozem-komendem zewnętrznym obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Więźniowie zatrudnieni tam byli przy produkcji sprzętu zbrojeniowego w zakładach firmy Krupp "Bertha Werke", przeniesionych tu z Nadrenii. W tym czasie wiele zakładów zbrojeniowych otwierało swe filie na terenach Dolnego Śląska, ponieważ były one trudniej dostępne do bombardowania przez lotnictwo alianckie.

W obozie znajdowało się około trzydziestu baraków-bloków mieszkalnych, cztery baraki-bloki rewiru, dwa bloki tzw. schonungu oraz kuchnia, kantyna, magazyny, umywalnia, ubikacje i plac apelowy. Wszystko to było ogrodzone płotem z drutu kolczastego pod napięciem elektrycznym i zasiekami. Uzupełniały całość rozmieszczone dookoła wieże strażnicze, wysokości około ośmiu metrów. Na zewnątrz ogrodzenia znajdowały się budynki komendantury i obsługi obozu.

Stan dzienny więźniów wynosił stale około sześciu tysięcy ludzi różnych narodowości, w tym zdecydowaną przewagę mieli Polacy, a następnie Rosjanie i Żydzi.

Fünfteichen nie posiadało własnego krematorium ani komory gazowej. Zmarłych zakopywano po prostu na pobliskich polach lub w późniejszym okresie wywożono samochodami do Gross-Rosen. W końcu roku 1944 śmiertelność wśród więźniów była duża i wynosiła około sześćdziesięciu osób tygodniowo, co dawało stały ubytek siły roboczej, która była systematycznie uzupełniana przez nowe transporty z Gross-Rosen.

W jednym z takich transportów uzupełniających, w początkach października 1944 r., znalazłem się wraz z kolegami: Zenonem Śmieciańskim i Zygmuntem Wojtczakiem. Trafiłem na blok Nr 24, gdzie rządził BV-erowiec Gustaw /nazwiska nie znam/, który wraz z grupą funkcyjnych, ze sztabowym Romanem z Łodzi, stworzyli więźniom wyjątkowo trudne warunki życia.

Mieszkaliśmy w barakach zmontowanych z elementów drewnianych na podmurówce, składających się z dwóch pomieszczeń do spania i jednego dziennego, który był tylko na pokaz, gdyż więźniowie, ciągle wypędzani z bloku, przebywali przeważnie na dworze. Montaż elementów był tak niedbały, że przez pozostawione szpary i prześwity sypał się do środka śnieg, przeciekał deszcz i przedostawało się przejmujące zimno, tym bardziej że sypialnie w ogóle nie były ogrzewane. Pracowaliśmy w systemie dwunastogodzinnym, raz na dzień, raz na noc. Od godziny siódmej do godziny dziewiętnastej i odwrotnie.

Po zmianie dziennej wracaliśmy do obozu około godziny dwudziestej pierwszej. Otrzymywaliśmy obiad-kolację i po spełnieniu różnych obowiązków mogliśmy położyć się spać. Budzono nas już około godziny czwartej rano, potem było mycie, sprzątanie, śniadanie, apel i wymarsz do pracy. Wszystkie te czynności uzupełniali blokowi swoistymi, wymyślonymi zarządzeniami. Na przykład w bloku 5 codziennie rano blokowy przeprowadzał swym podopiecznym "kąpiel". Wszyscy musieli bez względu na pogodę i porę roku, pobiec nago do umywalni, umyć się i wrócić. Oczywiście podczas ubierania powstawały różne pomyłki, kradzieże odzieży i bałagan, na który tylko czekali funkcyjni, przywracający "porządek" biciem i katowaniem.

Najbardziej jednak dawała się nam we znaki nocna zmiana, ponieważ po całonocnej pracy i przyjeździe do obozu około godziny dziesiątej otrzymywaliśmy śniadanie i - zamiast spać - zapędzano nas do najróżniejszych wymagalnych czynności porządkowych, związanych z utrzymaniem higieny osobistej i czystości na terenie bloku, które trwały nieraz do południa. Było to mycie, golenie, golenie co trzy dni paska na głowie, odwszawianie, ponadto czyszczenie i naprawa odzieży; codzienne szlifowanie stołów, stołków, łóżek i innych sprzętów, mycie okien i podłóg, zmiatanie, grabienie i sprzątanie terenu wokół bloku, noszenie żywności z kuchni i szeregu innych czynności, których celem było utrzymywanie więźniów w stałym napięciu i zatrudnianiu. Każde zagapienie się lub drobne niedokładności przy wykonywanych pracach powodowały natychmiast wymierzaną karę indywidualną albo karne ćwiczenia dla całego bloku.

Sadyści SS-mani i funkcyjni, blokowi, kapo, sztubowi, znęcali się nad swymi ofiarami w najbardziej wyrafinowany sposób: kopali okutymi butami, bili pięścią, łokciem, pejczem, kijem, szufelką od węgla lub innymi będącymi akurat w zasięgu ręki przedmiotami. Pamiętam, jak podczas nocnego alarmu lotniczego, wyrwani ze snu więźniowie stłoczyli się w drzwiach z sypialni do jadalni i wtedy zostali okrutnie zmasakrowani przez blokowego Gustawa zwykłym stołkiem, który posłużył mu za narzędzie do bicia. Tak więc na sen i wypoczynek pozostawało nam zaledwie kilka godzin.

Pracowaliśmy w pięciu wielkich halach fabrycznych, podzielonych na oddziały /schiffy/. Każdy oddział posiadał własnego kapo. Razem z nami pracowali również pracownicy cywilni: Niemcy, Francuzi, Polacy i inni. Podczas pracy obowiązywały specjalne nakazy i zakazy, które nie pozwalały nam, między innymi na oddalanie się z miejsca pracy lub jakiekolwiek kontakty z cywilami. Poza tym co trzy godziny zarządzano apel w celu sprawdzenia stanu więźniów. Wszelkie uchybienia karane były natychmiast lub po przyjeździe do obozu i wezwaniu do kancelarii /schreibstuby/.

Za tygodniową pracę z Kruppa otrzymywaliśmy od czasu do czasu jeden bon premiiowy /premienschein/, za który mogliśmy otrzymać w kantynie obozowej kilka papierosów, lub coś do zjedzenia, na przykład miskę kiszonej kapusty czy buraków. Ci, którzy mogli otrzymać z domu paczki żywnościowe lub pieniądze, mieli się trochę lepiej, ale i tak zakup za pieniądze odbywał się w szczególny, wyrafinowany sposób. Więzień dowiadywał się od blokowego, że ma na swym koncie pewną sumę pieniędzy, lecz nie dostawał ich do ręki, tylko zmuszony był do jednorazowego wykupienia, za wszystko, żywności. Jeżeli była to większa suma, to za całość wykupywano np. dwie-trzy beczki kiszonej kapusty, buraków lub brukwi i przynoszono to wszystko na blok. Oczywiście delikwent mógł zjeść tylko określoną ilość, przeważnie i tak chorował z przejedzenia, a resztę rozdawano "wybrańcom" lub muzułmanom.

Zdarzyło się raz, że za pieniądze jednego z więźniów zakupiono parę beczek solonej dyni. Po powrocie z pracy na dzienną zmianę i zjedzeniu obiadokolacji, blokowy z zagadkową miną zapytał, kto jest jeszcze głodny? Natychmiast zgłosiło się wielu, lecz zamiast jedzenia otrzymali tylko kilka razów chochlą, natomiast blokowy wybrał sobie jednego z Rosjan /Iwana/ i spytał, czy chce otrzymać miskę jedzenia pod warunkiem, że musi zjeść ją na oczach wszystkich. Wybraniec z radością zgodził się na tę propozycję i przystąpił do jedzenia. Już po krótkim czasie przekonał się, że mimo głodu, zjedzenie takiej ilości solonej dyni nie jest wcale łatwe. Z wielkim wysiłkiem, pod groźbą kary, uporał się z zawarto-

ścię miękki i poprosił o pozwolenie pójścia do umywalni, aby móc napić się wody, lecz na to mu nie pozwolono. Na tym właśnie polegała perfidia, żeby bez kary cielesnej przeżył jeszcze większe męczarnie, nie mogąc zaspokoić pragnienia. W tym czasie zresztą jeszcze wiele osób skusiko się na zjedzenie, już po tym zdarzeniu, rozdawanej dyni, ponieważ pokusa zaspokojenia "choroby" głodu była większa niż rozsądek. Wszyscy jednak bardzo tego żałowali, gdyż picie dużej ilości wody dla ugaszenia pragnienia spowodowało u wielu rozstrój żołądka i biegunkę, która dla wycieńczonych organizmów była chorobą nadzwyczaj groźną i trudną do opanowania. Dodatkowym umęczeniem były jeszcze kary i "ćwiczenia" za nieporządek, ponieważ nikt nie mógł zjeść zamierzonej porcji do końca, starając się ukryć lub wyrzucić ją gdziekolwiek, co oczywiście nie uszło uwadze funkcyjnych.

Podczas mego pobytu w Fünfteichen zdarzyło się kilka ucieczek z terenu fabryki. Najlepiej pamiętam ucieczkę Rosjanina, jeńca wojennego imieniem Sasza, który pracował przy sąsiedniej obrabiarkce, tuż obok mnie. Działo się to wszystko na nocnej zmianie, podczas alarmu lotniczego. Musieliśmy przejść do schronów przeciwlotniczych, znajdujących się na zewnątrz, niedaleko hal fabrycznych. Było przy tym trochę zamieszania z powodu pośpiechu i ciemności. Kontrola również była utrudniona, bo oprócz więźniów chowali się także do schronów pracownicy cywilni. Sasza wykorzystał moment nieuwagi, nie pobiegł wraz z innymi do schronu, lecz pod osłoną ciemności przedostał się przez zewnętrzne ogrodzenie zakładu i uciekł na wolność. Był to bardzo dobry moment do ucieczki dlatego, że alarm trwał około trzech godzin i dopiero po jego zakończeniu, w czasie apelu, można było stwierdzić brak jednego z więźniów. Po parokrotnym liczeniu polecono nam zająć swoje stanowiska pracy i wtedy okazało się, że brakuje Rosjanina, mojego sąsiada. Czas jednak działał na jego korzyść i zanim rozpoczęto dokładniejsze poszukiwania, on odbiegł już dość daleko lub ukrył się w bezpiecznej kryjówce.

Całe to zdarzenie przeżyłem bardzo mocno, ponieważ byłem parę razy "przesłuchiwany" przez kapo i SS-menów, czy nie zauważyłem czegoś, co wekazywałoby na przygotowania do ucieczki. Jeśli fakt ten miał by miejsce podczas pracy, groziła mi kara za niezgłoszenie o braku mojego sąsiada przy maszynie dłużej niż pięć minut.

Drugą udaną ucieczką, którą znam tylko z relacji kolegów, była ucieczka jednego z więźniów z Krakowa. Po zakończeniu dziennej zmiany, około godz. 19,30 rozpoczęliśmy wymarsz do obozu. Było ciemno, siępił dorbny deszcz. Żeby dostać się do naszej ogrodzonej drogi, musieliśmy przejść kilkaset metrów po drogach wewnętrznych, zakładowych, z których również korzystali inni pracownicy-cywilie. Na jednym z zakrętów więzień wyskoczył z szeregu i nie zauważony zmieszał się z grupą cywilów, prawdopodobnie zaprzyjaźnionych, którzy całowo stworzyli taką sytuację, umożliwiając mu ucieczkę do wcześniej przygotowanej kryjówki. Zanim się zorientowano, już było po wszystkim - ciemności eprzyjały temu wyczynowi. Najbardziej ucierpieli na tym najbliżsi sąsiedzi uciekającego, za to, że nie waczęli na czas alarmu, i my wszyscy stojący kilka godzin na deszczu i oczekujący na rezultaty poszukiwań. Wróciliśmy do obozu dopiero około północy z cichą satysfakcją, że chociaż jednemu z nas się powiodło.

Była również udana ucieczka dwóch lub trzech więźniów pracujących jako hydraulicy. Ponieważ zakłady budowano w pośpiechu, nie wszystko, co zaplanowano, zostało wykonane na czas. Na razie urządzone i oddano do użytku na naszej hali jedną ubikację,

natomiast drugą, tuż obok, dopiero wyposażano. Grupa więźniów zatrudniona przy tym systematycznie nadpiłowywała kraty, przygotowując ucieczkę. Działali oni w porozumieniu z cywilami, od których otrzymali odpowiednie ubrania. Wreszcie, gdy wszystko było gotowe, zaraz po apelu o północy, przebrali się, wyłamali kraty i uciekli. Na bezpieczne oddalenie się mieli czas aż do rannego apelu, kiedy to podczas liczenia stwierdzono ich brak. Od tej ucieczki wprowadzono dwa dodatkowe apele o godzinie 22,00 i 3,00 w nocy.

Raz tylko zdarzyło się, że więzień pracujący w transporcie ukrył się w załadowanym wagonie, ale został odnaleziony i ciężko ukarany. Niestety jego było to, że wagon, w którym się ukrył, nie odjechał w planowanym czasie. Po stwierdzeniu braku, rozpoczęto poszukiwania zakończone "sukcesem".

Chociaż nie wszystkie ucieczki były przez nas zauważone, to zawsze orientowaliśmy się dobrze, co się stało, po dodatkowych apelach, liczeniu i nerwowych poszukiwaniach. Zawsze spotykały nas wtedy różne represje, kary, popędzanie, bicie i ćwiczona, które świadczyły o bezsilności, złości i bestialstwie SS-manów. O tym zaś, czy ucieczka była udana, czy nie, dowiadaliśmy się stąd, gdy schwytana ofiara była na oczach wszystkich bita i maltretowana, nieraz aż do śmierci, a następnie pokazywana w miejscu publicznym jako ostrzeżenie dla tych, którzy mieliby chęć naśladowania.

Stosunkowo duża ilość podejmowanych w tym czasie ucieczek spowodowana była zapewne ogólną sytuacją na frontach, która zapowiadała rychły koniec Trzeciej Rzeszy. Miało to niewątpliwie swój wpływ na zachowanie się obsługi obozu, przejawiające się zmniejszoną koncentracją, oznakami obojętności i rozluźnienia dyscypliny, co pozwalało więźniom na większą swobodę w tego rodzaju działaniach.

Sprawę, na którą warto również zwrócić uwagę w Fünfteichen, były warunki bytowe i higiena. Zaczniemy od żywienia. Było ono następujące: Na śniadanie otrzymywaliśmy pół litra zupy z kartofli, którą przygotowywano w ten sposób, że kartofle, po opłukaniu, wrzucano w całości do kotła i zagotowywano, nawet nie dodając soli. Powstawała z tego mętna, szara ciecz z pływającymi w niej obierkami. Do tego 30 dkg chleba i kawałek margaryny, twarogu, marmolady lub pseudowędliny. Na dodatek specjalna premia od firmy Krupp, tzw. dziesiątka, w postaci kawałka chleba wagi około 10 dkg. Ta ilość żywienia musiała wystarczyć na cały dzień, ponieważ dopiero po powrocie z pracy około godziny 21 otrzymywaliśmy obiad-kolację w postaci jednego litra zupy z buraków pastewnych, brukwi, marchwi czy jakiegokolwiek innej zieleńcy. Zupa była przeważnie zupełnie zimna, gdyż kotły czekały na nas już od południa.

Ubranie więźnia w okresie letnim składało się z pasiaków, trepów i czapki, w zimie dodawano jeszcze płaszcz-pasiak i skarpety. Bielizna też ze specjalnego materiału w pasy lub cywilna. O ubiór każdy musiał dbać we własnym zakresie, otrzymując od czasu do czasu "naucę" od funkcyjnych. Bielizny w ogóle nie prano, tylko wymieniano na inną, ale dopiero po dwóch, trzech miesiącach noszenia. Nieraz dochodziliśmy do wniosku, że to postępowanie jest celowe, bo po co zmieniać bieliznę komuś, kto i tak w tym mniej więcej czasie pożegna się z tym światem.

Warunków do mycia i zachowania higieny osobistej nie mieliśmy w zasadzie żadnych. Prymitywne obiekty, zwane umywalniami, urządzone były w ten sposób, że nad kamiennymi korytami przeprowadzono rury, z których kapiała zimna woda. Po wpędzeniu do środka kilku-

dziesięciu osób trudno było w nich się poruszać, nie mówiąc już o myciu lub kąpaniu. Ponadto rozchlapywana woda wraz z naniesioną ziemią stwarzała błoto, rozdeptywane i roznoszone dookoła. Jedy-
nym pożytkiem z umywalni było to, że w nielicznych wolnych chwila-
ch stawała się ona miejscem spotkań z kolegami, a jednocześnie
swego rodzaju giełdą, targiem, gdzie można było wymienić papiero-
sy, chleb lub inne przedmioty codziennego użytku.

Poza ciągłym uczuciem głodu i brudem bardzo nam dawało się we
znaki zimno. Wystawaliśmy na apelach na deszczu, chłódzie i mro-
zie. Spaliśmy w pomieszczeniach nie ogrzewanych, na papierowych
siennikach wypchanych wiórami drzewnymi, pod jednym kocem, na do-
datek przy otwartych oknach. Jedyne schronieniem była fabryka,
która zabezpieczała nas przed wpływami atmosferycznymi.

Bardzo dokuczliwym zjawiskiem w obozie była plaga wszy, które
stawały się nie do zniesienia. Sprzyjało ich rozwojowi też to, że
za każdym razem spaliliśmy w innym łóżku, wybierając po prostu pierw-
sze wolne. Ciągłe akcje odwszawiania pomagały niewiele, najwyżej
dawały powód do bicia, gdyż za każdą znalezioną wesz otrzymywało
się pięć batów. Próbowano także smarowania głowy i innych wrażli-
wych części ciała roztworem wody i żrących substancji chemicznych,
które zamiast zabijać wszy, tylko drażniły i niszczyły skórę, po-
wodując przykre dolegliwości.

Osobną sprawą było strzyżenie i golenie, którego musieliśmy
przestrzegać pod groźbą kary. Nosiliśmy włosy długości do dwóch
centymetrów, z wygolonym przez całą głowę pasem szerokości około
trzech centymetrów. Również włosy na karku musiały być wygolone
również z uszami. Czynności te trzeba było powtarzać co najmniej
raz na trzy dni /np. środa, sobota/ i były one dla nas istną udrę-
ką, ponieważ golono nas zazwyczaj na dworze w wielkim pośpiechu,
byłe jak, a przede wszystkim tępymi brzytwami lub żyletkami, bez
mydła. Nie obyło się przy tym bez zacięć i skażeń, które na
skutek brudu przeradzały się nieraz w ropiejące rany.

Do całości życia obozowego trzeba jeszcze włączyć pobyt w
szpitalu obozowym /rewirze/ i bloku ochronnym /schronung/. Rewir
był wydzielony i ogrodzony płotem z pojedynczego drutu kolczaste-
go. Przebywali w nim więźniowie chorzy lub wycieńczeni do tego
stopnia, że nie mogli o własnych siłach ustać na nogach. Wyżywie-
nie podobne było do ogólnego, tylko pomniejszone o dodatki dla
pracujących w fabryce. Chorzy leżeli nago, bez bielizny, po dwóch
w jednym łóżku. Lekarzami, kapo i sanitariuszami byli więźniowie
często nie mający nic wspólnego z medycyną. Ciężko chorzy zdani
byli przeważnie na łaskę losu, natomiast lżej chorych próbowano
niekiedy leczyć lekami zorganizowanymi od Niemców lub od
pracowników cywilnych i przemycanymi do szpitala. Konieczne zabie-
gi przeprowadzano "na żywo", bez znieczulania, za pomocą prymi-
tywnych środków i narzędzi. Oczywiście nawet tych najprostszych
środków i leków nie starczało dla każdego i dlatego też trzeba
było cudu, żeby wyzdrowieć. Komu się to udało, zostawał z rewiru
wypisany i przechodził na schronung, gdzie przed powrotem do fabry-
ki jeszcze przez dwa trzy dni był wykorzystywany do różnych prac
porządkowych w obozie.

Obóz rządził się własnymi, nieludzkimi wprost prawami. Panował
w nim stały terror fizyczny i psychiczny. Puszczona w ruch przez
oprawców machina z okrutną bezwzględnością niszczyła wszystkich,
którzy stanęli na jej drodze. Dokładny opis lub odtworzenie tego,
co działo się za drutami, jest wprost niemożliwe. Żeby to właści-
wie zrozumieć, trzeba to samemu przeżyć.

Przedstawione powyżej fakty i wydarzenia są tylko drobnymi fragmentami niedoli więźniów. Bestialskie traktowanie, głodzenie, maltretowanie, wyniszczanie przez pracę ponad siły i zabijanie - wszystko to stwarzało warunki, w których przeżycie kilku miesięcy graniczyło z cudem. Z tych właśnie powodów Aussenkommando Fünfteichen /obecnie Jelcz/ zaliczyć trzeba do symboli cierpień, katorgi i męczeństwa ludzi.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.17

UCIECZKA

Od chwili aresztowania mnie oraz w czasie przebywania na gestapo i w więzieniu w Tomaszowie Mazowieckim /wówczas przy ul. Antoniego/, a potem podczas transportu, jak też i w obozie koncentracyjnym w Gross-Rosen, a następnie w obozie koncentracyjnym w Fünfteichen w 1944 r. myśl o ucieczce nigdy nie dawała mi spokoju. Zapewne jak każdemu takiemu jak ja.

Pod koniec maja 1944 r. rano przywieziono mnie transportem z Gross-Rosen do Fünfteichen. Zaraz w tym samym dniu widziałem, jak więźniowie wynosili na drewnianych tragach 7 czy 8 niemożliwie wychudłych trupów z bloku 14. Zrobiło to na mnie niesamowite wrażenie i zarazem pogłębiło moją chęć i odwagę do ucieczki. Takie widoki nie należały do rzadkości. W kilka dni po przyjeździe do Fünfteichen byłem zatrudniony przez dwa dni przy kopaniu "zygzakowatych" rowów, tzn. przeciwlotniczych. Przy tej pracy byłem naocznym świadkiem, jak dwaj SS-mani podeszli do nas - nie wiem, co im się nie podobało - i zastrzelili kopających obok mnie dwóch Rosjan.

Te wszystkie widoki i postępowanie z nami ugruntowały we mnie przekonanie, że należy uciec, nie zważając, co będzie. Szanse do ucieczki nie było, ale około 15 listopada 1944 r. przyszła mi myśl, aby zbadać kanały w fabryce Kruppa, gdzie byłem zatrudniony przy maszynie. Kanałami były doprowadzone kable elektryczne do maszyn. Byłem na hali 4. Jak inne, tak i ta hala podzielona była na tak zwane szyfy. Między szyfami były kanały, o których wspominałem.

Między szyfem 28 a 29, pracując na nocnej zmianie, rozpocząłem dorywcze badanie płytkiego, wąskiego, lecz dość długiego kanału. Kanał ten był nakryty cementowymi płytami wielkości płyt chodnikowych na ulicach. Aby mnie nikt nie zauważył, zachowując ostrożność, podniosłem jedną z płyt nakrywających kanał. Zobaczyłem, że jest możliwość czołgania się kanałem. Dach hali spoczywał na podwójnych filarach w kształcie dużej litery H, a między tymi filarami, ustawionymi w prostej linii, przebiegały omawiane kanały. Udałem, że idę do ubikacji, meldując to sąsiadowi, który pracował na sąsiedniej maszynie. Ubikacja była w drugim końcu hali. Obeszłem kręgiem szyfy i wróciłem kryjąc się za moją szafką narzędziową i filar. Upewniłem się, że nie powinien mnie nikt widzieć, i weszłem do kanału. Na jego dnie pozostawiłem kawałek deski pochodzącej ze skrzynki od opakowania, by wracając z powrotem wiedzieć, gdzie weszłem. Powrót kanałem był możliwy tylko czołgając się nogami do przodu, gdyż w kanale nie było możliwości obrócić się. Było tu prawie zupełnie ciemno, światło dochodziło tylko szparami nakrytych płyt. Czołgałem się kanałem w kierunku toru kolejowego, który zbudowany był dla podstawiania wagonów na hale. Od miejsca, gdzie weszłem do kanału było około 50-60 metrów do toru. Doczołgałem się do końca tym kanałem i dalej droga się skończyła mniej więcej przy torze kolejowym. Obmacywałem rękoma kable, gdzie dalej prowadzą, i zauważyłem, że skręcają w głąb. W czasie obmacywania kabli, wspierając się ręką o spód kanału, odczułem jakby się dno kanału poruszyło. Powtórzyłem tę czynność - rzeczywiście z lekka kołysze się jakby nierówno położona płyta. Nic więcej nie mogłem zrobić gołymi rękami. Wycofałem się tyłem do miejsca zazna-

czonego deską. Z dużą ostrożnością uniosłem płytę i wyszedłem z kanału. Potem wróciłem do maszyny i zacząłem pracować.

Tej nocy już więcej do kanału nie wchodziłem. Liczyłem się z tym, że częstsza moja nieobecność przy pracy może być podejrzana. Czas pobytu w kanale musiał być bardzo krótki, gdyż pobyt w ubikacji był określony na około 7 minut. Podczas przebywania w Fünfteichen postanowiłem udawać człowieka bardzo flegmatycznego, by nikt mnie nie podejrzewał o ucieczkę.

Nocna zmiana trwała tydzień. Więc następnej nocy po apelu na hali, gdyż nas często przeliczali, po godz 22 zabrałem ze sobą dwa płaskowniki żelazne o długości około 35 cm i kawałek drewna do podkładania przy podważaniu. Ostrożnie wszedłem do kanału, pozostawiając znak i podczołgałem się znów do interesującego mnie miejsca. Podważyłem płytę płaskownikiem, korzystając z niedużej szpary; bez trudu dała mi się wyważyć. Odsunąłem ją ostrożnie pod siebie, licząc się z tym, że na pasie stoją tam co parę metrów SS-mani. Wsunąłem rękę na całą długość, odczułem luz, poruszając płytę w lewo i prawo. Nagle zobaczyłem bardzo słaby blask światła. Wytraszyłem się, nasłuchiwałem chwilę, nachyliłem głowę i zobaczyłem, że odkryłem włącz do dużego kanału, głębokiego około półtora metra i 70 czy 80 cm szerokiego. W końcu tego kanału świeciła się żarówka. Według mojej orientacji, kanał, zwany przeze mnie, głównym, przebiegał pod torem kolejowym. Widziałem dokładnie zawieszone kable na boku kanału. Obserwowałem jeszcze chwilę, nie zauważyłem jednak żadnych ruchów ludzkich. Dysponowałem bardzo krótkim czasem - musiałem już wrócić na halę do pracy. Zasunąłem płytę i wycofałem się.

Następnej nocy zdobyłem się na odwagę i wszedłem do głównego kanału. Było spokojnie, więc ruszyłem w kierunku świecącej się żarówki - licząc na halę w kierunku pierwszego szyfu. Po drodze widziałem kable skręcające do poszczególnych małych kanałów, między szyfy. Po lewej stronie napotkałem tej samej wielkości kanał co główny, o długości około 6-7 metrów, ale ślepy; dalej nie prowadził. Takich kanałów spotkałem 3 czy 4, lecz ostatni, boczny, był zakończony schodami betonowymi, nakrytymi z góry deskami. Doszedłem do końca głównego kanału aż poza świecącą żarówkę i również dalej nie można było iść, też był zakończony betonem. Wróciłem z powrotem do kanału bocznego. Próbowałem odsunąć deski, bez specjalnego wysiłku zrobiłem to i wyszedłem po schodach do nie wykończonego pomieszczenia, które było poza ścianą i torem na hali, gdzie stali SS-mani, czyli znalazłem się poza najgorszą do przebycia, strzeżoną strefą. W nie wykończonym pomieszczeniu poza materiałem budowlanym nic nie było, a w zewnętrznej ścianie duże okno z lufcikami na dole, którym swobodnie można by się wydostać na dwór i który się otwierał. Wydawało mi się, że jestem już za długo, więc powróciłem na halę do pracy.

Sądziłem, że tą drogą będzie można się wydostać, ale uciekać jeszcze nie mogłem, bo nie byłem przygotowany. Bałem się, czy przypadkiem ogrodzenie fabryczne nie jest na jakimś odcinku pod prądem wysokiego napięcia. W związku z tym zdobyłem na hali kawałek gumowego brezentu i uszyłem coś w rodzaju rękawic. Następnie chciałem zdobyć nożyce do cięcia drutu, ale to się nie udało. Na szyfie 30 pracował Bolesław Majchrzak, znałem go z wolności. Mieszkał na wsi Nowe Chusty, pow. Brzeziny, miał około 57 lat. Pracował przy czyszczeniu luf armatnich wewnątrz i miał kombinerki. Postanowiłem na krótko przed zdecydowaną ucieczką iść do niego i pożyczyć. Upłynęło parę dni, nim byłem gotów. W następnym tygodniu prze-

szedłem na zmianę dzienną, tj. od 5 do 22. Było to 19 listopada 1944 r. W tym dniu, będąc już przygotowany, biłem się z myślami, czy uciekać, czy nie - co w ogóle robić. Na samą myśl "uciekać" szumiało mi w głowie ze strachu. Wiedziałem, co robią z tymi, którzy uciekają, jeśli ich złapią, wiedziałem, w jaki bestialski sposób ich mordują. Pamiętałem kilka zorganizowanych ucieczek, i to przez ludzi mądrych, ale żadna z nich się nie udawała - zawsze byli chwytni. Ostatni przede mną kolega Wilczek z Warszawy, pracował na 2 szynie przy załadunku wagonu wiórami od tokarni. Wszedł do wagonu i koledzy go przysypali, czy też bez wiedzy kolegów został przysypany. Wprawdzie wyjechał wagonem z hali, lecz wkrótce był apel; po przeliczeniu SS-mani szybko się zorientowali i w tych wiórach go zadźgali szpikulcami. To mi stało w oczach i hamowało przed zdecydowaniem się na ucieczkę.

Może będzie mnie to ośmieszało, ale tak było: w nocy z 19 na 20 listopada miałem sen, który jeszcze dziś pamiętam. Śniła mi się biała gęś siedząca na gnieździe i śmiała się do mnie, a ja jakąś rurą kulnąłem duże białe jajo pod tę gęś i ono przeleciało na drugą stronę. Zastanawiałem się nad tym snem, przyrównywałem jajo do siebie, że jeśli ono przeleciało rurą na drugą stronę, to może i mnie się uda wydostać na wolność z piekła.

20 listopada jeszcze zastanawiałem się, co robić, wreszcie konkretnie postanowiłem uciekać. W tym dniu udawałem, że jestem chory na biegunkę; mówiłem do więźniów pracujących na sąsiednich maszynach, że muszę często chodzić do ubikacji. Robiłem to dlatego, że było dużo kapusiów i nie można było nikomu wierzyć. Trzeba było spowodować, aby nie było podejrzenia z powodu mojej nieobecności i bym miał więcej czasu na oddalenie się, nim zameldują, że mnie długo nie ma, i aby myśleli, że jestem chory i siedzę w ubikacji. Przed godz. 17 pożyczyłem kombinerki, i zaraz po apelu, mając już całe wyposażenie, tj. rękawice, kombinerki i dwa płaskowniki żelazne, zameldowałem sąsiadowi, że idę do ubikacji. Okrążyłem po ezyfach, wszedłem do małego kanału wraz ze sprzętem, podczołgałem się do głównego kanału po uprzednim wyważeniu płyty. W głównym kanale zdjęłem z nóg trepy i bardzo cicho i ostrożnie dostałem się do bocznego kanału zakończonego schodami. Posłuchałem, czy kogoś nie słyszać, ostrożnie rozesunąłem deski, którymi były nakryte schody, wszedłem do nie wykończonego pomieszczenia, zasuwając za sobą deski, by nie pozostawić śladów, podszedłem do okna, uchyliłem lufcik i ostrożnie wyjrzałem. Zauważyłem, jak SS-man, który jeszcze robił obchód dookoła hali, wkrótce skręcił za jej narożnik i znikł. Miałem już wyjść przez lufcik, ale coś mnie tknęło, by jeszcze chwilę zaczekać; okazało się, że SS-man również za rogiem hali postać chwilę i znów wyjrzał. Jeszcze chwilę poczekałem obserwując, ale nie było nikogo widać, SS-man widocznie poszedł. Jeszcze chwilę odczekałem, choć ta chwila wydawała mi się godziną - zaryzykowałem, wyszedłem przez lufcik i wolnym krokiem udałem się w kierunku złożonego budowlanego materiału leżącego obok nowo budowanej hali. Między wagonikami /kolebami/ uznałem, że już mnie nie widać. Po chwili znalazłem się na ciemnym terenie fabrycznym i wtedy szybkim krokiem, nasłuchując, dostałem się do siatki, którą był ogrodzony teren fabryczny. Ogrodzenie nie było pod napięciem. Przedostałem się pod siatką, skorzystałem z jakiegoś dołka czy rowka. Aby nie robić hałasu, w obawie, czy SS-mani przypadkiem nie mają obchodu poza ogrodzeniem terenu fabrycznego, jeszcze około 150 metrów szedłem b. powoli i ostrożnie. Potem zacząłem biec, na ile mi moje siły pozwalały. W polu było

ciemno, uciekając potykałem się co kilka kroków. Wreszcie przebrnąłem pole i przystanąłem nie czując nawet zmęczenia. Nic za mną nie było słychać, tzn. nie gonią. Ruszyłem w kierunku stacji kolejowej Marktadt. Zdążyłem dobiec do stacji, w tym czasie gwizdnął parowóz, pociąg ruszał, a ja wskoczyłem na wagon węglarkę. Wdrapałem się do wewnątrz, była załadowana pokrzywionymi kawałkami tregrow i złomem. Schwałem się, jak głęboko się dało, i jechałem dosyć długo. Od czasu do czasu pociąg się zatrzymywał, być może parowóz brał wodę, i jechał dalej. Kiedy się pociąg zatrzymywał wychodziłem na powierzchnię złomu i obserwowałem, czy nie ma przypadkiem obławy.

Okolo północy zauważyłem po dużej ilości świateł, że pociąg będzie wjeżdżał zapewne na dużą stację. Bałem się na nią wjechać, sądziłem, że mogę prędzej wpaść w łapy szwabów. Zszedłem na stopień węglarki, uchyliłem rączkę kranu przewodu pneumatycznego hamowania. Powietrze zaczęło syczeć, a pociąg zaczął zwalniać szybkość. Widziałem, że jedzie dosyć wolno, więc wyskoczyłem po uprzednim ustawieniu rączki kranu do poprzedniego położenia. Pociąg nie zatrzymał się, posapał i pojechał dalej. Okazało się, że wyskoczyłem w pobliżu jakiegoś dość dużego miasta. Okrążyłem to miasto polami, dostałem się do toru kolejowego już poza miastem. Na taką dużą stację bałem się wracać, więc pieszo, nad torem, udałem się do następnej. Pociągi jechały, ale wskoczyć nie mogłem, bo była za duża szybkość. Wreszcie doszedłem do tarczy ostrzegawczej - teraz już się nie martwiłem o wsiadanie do pociągu. Przed aresztowaniem pracowałem w kolenictwie, więc się znałem. Odkręciłem o dwa obroty korbę, na skutek czego obniżyłem lampy i okulary tarczy - przez co pokazywała ona sygnał pomarańczowy, mimo że była podana na wolną drogę. Potem podszedłem do semaforu wjazdowego, z którym współpracuje tarcza ostrzegawcza i na semaforze również obniżyłem lampy o dwa obroty, przez co odłączyły się okulary z haka ramienia semafora. Kiedy był podany semafor na wolną drogę, to i ramię semafora było podane. Ale światło na semaforze zamiast być zielone, pozostało czerwone. W nocy maszynista pociągu, nie widząc ramienia semafora, kieruje się sygnalizacją świetlną, jaka jest na semaforze. Gdy pociąg jechał, wówczas maszynista widział na tarczy ostrzegawczej sygnał wskazujący zgodnie z pokazującym się na semaforze "stój". Takich eksperymentów, jakie robiłem przy tarczy i semaforze, pracownik kolejowy na swoim posterunku mechanicznym nie jest w stanie odczuć i nie może się zorientować. Niedługo czekałem przy semaforze - jechał pociąg. Zagwizdał przed tarczą ostrzegawczą, po krótkim czasie zbliżał się do semafora i prawie miał stanąć. Ja w tym czasie ukryłem się za napędem semafora i skoro pociąg miał stanąć, szybko podkręciłem lampy do góry na semaforze i ukazało się światło zielone, bo przecież ramię semafora było na wolną drogę. Na tarczy ostrzegawczej lampy musiały pozostać do rana opuszczone, póki nie przyszedł kolejarz je gasić. Czas był wojenny, światła na czole parowozu były przyciemnione, więc maszynista nie mógł oświetlić i widzieć, że ramię jest podane, mimo że dość blisko podjeżdżał do semafora. Po jego minięciu przez parowóz i kilku wagonów wskoczyłem z ukrycia na stopień węglarki, potem wdrapałem się do wewnątrz, była załadowana cegłą szamotową i poprzekładana słomą. Wyciągnąłem trochę słomy, bym miał się czym nakryć w razie przejeżdżania przez stację pod lampą gdzieś przy nastawni, aby mnie ktoś nie zauważył. Jechałem tym pociągiem niedługo, gdyż zobaczyłem przejeżdżając stację, że na zegarze czas pokazywał około godz. 5 nad ranem. Dłużej nie mogłem

jechać, nie znając trasy ani kierunku, aby w pasiakach nie wjechać na jaką dużą stację, do tego przy mieście i w dzień, bo wówczas byłbym szybko odkryty i złapany. Jadąc akurat przez las, wołałem wyskoczyć. Pociąg zwolnił szybkość, gdyż jechał na wzniesieniu. Wydawało mi się, że bez trudu wyskoczę. Niestety, skacząc wyrzuciłem kilka koziółków i wpadłem do niezbyt głębokiego roku. Zmoczyłem się cały, potłukłem głowę i lewy bok. Wyskakiwałem w trepach, być może przez to ślamazarnie, ale na szczęście iść mogłem, tylko oddychać głęboko było mi trudno. Zgubiłem jeden płaskownik żelazny i kombinerki, drugi płaskownik znalazłem - leżał obok roku. Wiedziałem, że niedługo będzie świt, nie mogłem nic więcej wymyśleć, jak pozostać w lesie przez cały dzień. Oddaliłem się od toku o około 500 m, napotkałem las świerkowy, z gęstym podszyciem i w tych świerkach się zatrzymałem. Zmoczony, głodny i obolały od potłuczenia, mimo tego nałamałem gałęzi, zrobiłem daszek i podłóżę do siedzenia. Zimno i głód mi dokuczały, do tego padał deszcz i mój daszek zaczął przeciekać. O spaniu nie było mowy, dzień się dłużył. Wreszcie zaczęło szarzeć, miałem ochotę swą kryjówkę opuścić, lecz zdawałem sobie sprawę, że jest to listopad i robi się wcześniej ciemno, a ludzie jeszcze dość długo się kręcą, nim pójdą spać. Był to teren niemiecki i wiedziałem, że nie wolno mi się z nikim spotkać, ani też z nikim rozmawiać. Jak się ściemniło, pozwoliłem sobie na rozruszanie się, by rozgrzać skostniałe chude ciało.

Około godz. 20 - jak przypuszczałem - wyruszyłem w drogę. Obawiając się, że do następnej stacji będzie daleko, wróciłem do tej, którą nad ranem przejechałem. W pobliżu stacji napotkałem na gospodarstwo. Ponieważ głód bardzo dawał mi się we znaki, zacząłem się kręcić dokoła. Prawie że przy podwórku zobaczyłem murowaną piwnicę, ostrożnie ją otworzyłem i wszedłem. Po omacku znalazłem marchew. Nabrałem jej w kieszenie i za koszulę i oprócz kartofli nic więcej nie znalazłem. Udałem się do tarczy ostrzegawczej, a następnie wróciłem do semafora. Po drodze w kałuży opłukałem marchew i pożywiałem się. Powtórzyłem eksperyment z semaforem, czekałem niedługo, zaraz słychać było jadący pociąg, po chwili wyjechał z łuku. Zbliżył się do tarczy ostrzegawczej, zagwizdał, i zaczął stawać. Podkreśliłem o dwa obroty na semaforze. Pociąg dość energicznie ruszał. Parowóz minął semafor, za którym byłem ukryty, zauważyłem, że to pociąg pasażerski. Nie wsiadałem do niego, bałem się Niemców. Upłynęło około 40 minut, zanim doczekałem się pociągu towarowego. Po dokonaniu manipulacji z semaforem pociąg zwolnił, wsiadłem do budki hamulcowej przy krytym wagonie, gdyż była na obie strony otwarta, wiedziałem, że w niej nikogo nie ma. Jadąc pociągiem, przyszedłem do przekonania, że koniecznie muszę się w jakiś sposób przebrać, a w szczególności zdobyć buty, bo w czasie marszu trepy strasznie mnie zdradzały, uderzając w kamienie. Jazda tym pociągiem była mozolna, gdyż zatrzymywał się na każdej stacji, a ja musiałem się kryć, by mnie drużyna pociągowa nie widziała. Noc zeszła, a drogi ubyło niewiele. Przejeżdżając obok budynku stacyjnego, zobaczyłem, że jest godz. 4,30 czy 5,30 - nie pamiętam. Opuściłem ten pociąg na tej stacji i udałem się poszukać dziennego noclegu. Bałem się lasu, gdyż słota dawała mi się we znaki.

Około kilometra od tej stacji zobaczyłem gospodarstwo stojące w polu na uboczu. Po cichutku wszedłem do stodoły, by przypadkiem nie zbudzić psa. W pogotowiu trzymałem w ręku sztabik żelazny, który z sobą wziąłem. Płądrowałem w stodole trochę za ciuchami i

butami, ale nie było nic. Korzystając z ciszy, podeszedłem do budynku mleczarni zobaczyć, czy nie było ubrania lub butów, ale znalazłem tylko kartofle. Zabrałem trochę i wróciłem do stodoły. Zagrzebałem się w słomę w sásieku i postanowiłem przesiedzieć dzień. Od gryzienia marchwi wydawało mi się, że już mi się zęby ruszają. Byłem tak bardzo zmęczony, że nie wiedziałem, kiedy zasnąłem. Gdy się przebudziłem, było widno. Zjadłem pewnie ze dwie marchwie, nagle słyszę, że ktoś wszedł do sásieka. Wziąłem do ręki mój żelazny płaskownik i czekałem w ogromnym napięciu. Na szczęście nic złego się nie stało. Prawdopodobnie gospodarz wszedł po słomę i zaraz wyszedł. Około godz. 20 opuściłem ostrożnie stodołę i skierowałem się do stacji, na której nad ranem wysiadłem. Udałem się znów do semafora wjazdowego i przechodziłem w niedużej odległości od budynku dworcowego. Tam spostrzegłem na peronie kilku Niemców z automatami. Krew uderzyła mi do głowy i zrobiło mi się gorąco. Pomyślałem, czy przypadkiem nie jest obława na mnie. Ze strachu zmieniłem kierunek. Poszedłem polami wzdłuż toru, nie zbliżałem się doń, myślałem, że może przypadkiem jest obstawiony z uwagi na przejazd jakiegoś specjalnego pociągu. Szedłem pieszo parę godzin, szło się bardzo ciężko po rozmokłym polu. Widziałem światło tarczy ostrzegawczej, koniecznie chciałem się dostać do jakiegoś pociągu. Bardzo ostrożnie pouszedłem do tarczy i odkręciłem okulary z lampami i znów z dala od toru doszedłem do semafora i odkręciłem lampy o dwa obroty korbą. Zaraz prawie nadjechał pociąg. Po manipulacji z semaforem wsiałem na platformę załadowaną drewnem i pojechałem. Ten pociąg jechał bardzo dobrze, prawie się nie zatrzymywał, aż dostrzegłem łunę od świateł. Pomyślałem, że to widocznie jakaś większa stacja lub miasto. Było sporo po północy. Zrezygnowałem z dalszej jazdy, licząc się z tym, że nie dam rady okrążyć pieszo dużego miasta. Bałem się, że może mnie załkoczyć dzień. przyhamowałem więc pociąg i wyskoczyłem gdzieś w pobliżu nie strzeżonego przejazdu. Poszedłem drogą może z kilometr i zobaczyłem zabudowania stojące w pobliżu wioski. Po cichu wszedłem na podwórko i z kolei pod szopę, gdzie stał wóz konny. Znalazłem jakiś ciuch, okazało się, że to paltko dziecięce. W szczycie obory było mieszkanko, nie wiedziałem, czy jest w nim ktoś. Na oknie nie było widać kwiatów doniczkowych ani firanek, domyśliłem się, że zapewne parują tu kartofle dla inwentarza. Po cichu otworzyłem drzwi i, nasłuchując, wszedłem do wewnątrz. Nikogo nie było, namacałem garnki z mlekiem. Z jednego garnka napiłem się. Ponieważ nic więcej nie znalazłem, wszedłem do stodoły, zakopałem się w siano i zasnąłem. Spałem krótko, gdyż przebudził mnie ból żołądka. Dostałem rozstroju po mleku, ale wyjść nie mogłem, bałem się, że mnie ktoś może nad ranem zobaczyć, do tego robiło się widno. Rozwolnienie mnie bardzo osłabiło, ale pod wieczór ból brzucha trochę ustąpił.

Przesiedziałem w tej stodole do około północy, potem udałem się do wioski. W pierwszym domu było ciemno, pomyślałem, że wszyscy śpią. Na podwórku stały właściwie dwa domy: jeden duży, zbudowany z pruskiego muru był zamknięty. Pod szopą znalazłem starą marynarkę, ale była tak sztywna, jakby ją zmoczono w smole czy farbie, i nie mogłem jej na siebie włożyć. Zbliżyłem się więc do tego drugiego domu, ale był zamknięty, wejść do wewnątrz też nie mogłem. Z prawej strony wejściowych drzwi było półokno o normalnej wysokości, w którym na dole w rogu brakowało kawałka szyby. Włożyłem rękę, odsunąłem zasuwkę i otworzyłem okno. Wszedłem do wewnątrz obmacując wszystko delikatnie, natrafiłem na worki ze zbo-

żem i mąką, ale nie było nic do zjedzenia ani żadnego ubrania. Był to epichrz, z którego drzwi wychodziły na korytarz, gdzie były wejściowe drzwi z podwórka. Otworzyłem je z klucza jak szerokie, bym w razie czego mógł szybko uciec. Wchodząc przez okno epichrza, pozostawiłem trepy pod oknem. Vis-a-vis drzwi epichrza były drzwi do pokoju. Cichutko otworzyłem, nasłuchując, doleciał mnie odgłos chrapania. Sądziłem, że obok łóżka może być ubranie. Zacząłem po ciemku macać, gdzie co jest i gdzie jest łóżko. Okazało się, że był to pokój stołowy i nikt tam nie spał, a chrapanie dochodziło z drugiego pokoju. Na stole namacałem jabłko w koszyczku, schowałem je szybko do kieszeni. Nieco dalej namacałem kawałek chleba, schowałem sobie za koszulę, aby nie stracić tak cennego pożywienia w razie jakiegoś popłochu. Następnie dobrałem się do szafy. Na wstępie namacałem sukienkę, potem drugą, ale dalej natrafiłem na jesionkę, którą z miejsca zawiesiłem sobie na lewej ręce. Potem znalazłem garnitur, był jeszcze jeden. W obawie, że może nie pasować, na wszelki wypadek zabrałem obydwa i zawiesiłem również na rękę. Na półce w szafie znalazłem czapkę narciarską i sweter. Z tym wszystkim wyszedłem na podwórze. Ponieważ butów żadnych nie znalazłem, idąc zabrałem spod okna trepy. Żadnych drzwi za sobą nie zamykałem, aby nie spowodować skrzypnięcia. Udałem się na przełaj przez pola w kierunku toru kolejowego i widocznej łąny, którą i nad ranem widziałem, opuszczając pociąg. Uszedłem polami około dwóch kilometrów i znalazłem się w sosnowym lasku. W nim się ubrałem, jeden garnitur był za duży, ale drugi w sam raz na mnie, jesionka też pasowała. Obawiając się, że może mnie ktoś śledzić, bym nie został całkiem nago, zdobyte ubranie włożyłem na pasiaki. Sweter był dziecięcy i również nie pasował. Czapka była troszeczkę za mała, ale rozbiłem ją i z biedą na głowę włożyłem. Za duży garnitur i sweter zakopałem w polu.

Szedłem teraz pieszko aż do wspomnianej łąny świateł. Było to dość daleko, ale innego wyjścia nie miałem, gdyż żadnego semafora nie spotkałem. Po drodze zjadłem kawałek chleba i dwa jabłka. Żywność musiałem oszczędzać, bo było ją bardzo trudno zdobyć. Dojechałem prawie do przedmieścia, nie wiedząc, która może być godzina. Natrafiłem na ogródki z altankami. Wybrałem jedną i postanowiłem w niej spędzić dzień. Urwałem kłódkę i wszedłem do środka. Znalazłem tam leżak, z czego się ucieszyłem. Podczas dnia oszczędnie pożywiłem się jabłkiem i chlebem. Pod wieczór zdjąłem pasiaki i schowałem w małej piwniczce pod podłogą altanki wraz z moim obozowym numerem 36132 na spodniach i bluzie. Wieczorem, może około godz. 19 czy 20 opuściłem altankę i udałem się w drogę. Dość sprawnie udało mi się okrążyć to nieduże miasteczko o nie znanej mi nazwie. Martwiłem się tylko, czy cały czas idę w dobrym kierunku. Czy nie jadę w głąb Niemiec - tego się strasznie bałem. Byłem słaby i nie chciałem iść do następnej stacji, chociaż czułem się trochę pewniej w cywilu. Po okrążeniu miasta i dojściu do toru wróciłem w kierunku miasta do stacji kolejowej. Idąc, wpadłem na pomysł, że kierunek trzeba śledzić po nalepkach na wagonach towarowych. Samo dojście do torów stacyjnych z boku było dość sprzyjające. Wejść na tory i między wagony nie mogłem. Stał tam transport wojskowy, było gwaro i rozmawiano po niemiecku. Czekałem może z godzinę. Odjechał jeden pociąg, gwar się uspokoił, pomyślałem, że zapewne ten wojskowy transport odjechał. Stał jeszcze jakiś pociąg. Ostrożnie podszedłem do niego, była przy nim lokomotywa ustawiona w kierunku jazdy zamierzonym przeze mnie.

Zdjąłem nalepkę z wagonu i podszedłem do słupa ze światłem.

Wyczytałem jakąś stację na nalepce, nie pamiętam nazwy, której nie znałem. Zdjąłem nalepkę z drugiego wagonu, przeczytałem "nach Krakau" i nie dowierzałem swoim oczom, wróciłem by ją zawiesić, ale dla pewności, czy dobrze przeczytałem, jeszcze raz podszedłem pod światło. Dobrze, Kraków - ucieszyłem się. Pomyślałem, że muszę się trzymać tego wagonu, to może trafię do Polski. Niedługo czekałem, pociąg ruszył. Wsiadłem do budki sąsiedniego wagonu do "Krakau" i pojechałem. W czasie jazdy zauważyłem, że gdybym nie wsiadł do tego pociągu, lecz ruszył pieszo nad torem, do którego trafiłem po okrążeniu miasta - byłbym szedł w jakimś innym kierunku, ponieważ tory rozchodziły się za stacją w dwa kierunki. Jechałem tym pociągłem około 4 godzin. Było po północy, pociąg na jakiejś stacji zatrzymał się. Na sąsiednim torze stał pociąg z wojskiem, może ten sam, co odjechał ze stacji, gdzie było gwar-
no.

Zsunąłem szybko trepy z nóg i po cichu opuściłem tory stacyjne. Na szczęście przestało padać i było widać gwiazdy. Koło stu metrów od torów ukryłem się w kępie krzaków przy jakimś rowie. Sądziłem, że transport odjedzie w pierwszej kolejności. Pomyślałem, że będę czekał, a skoro ruszy mój pociąg, to podbiegnę i pojedę dalej. Po chwili lokomotywa od transportu wojskowego odjechała na inny tor i pojechała z powrotem; a lokomotywa od mojego pociągu dojechała do pociągu z transportem wojska i po krótkim czasie transport z wojskiem odjechał. Domyślałem się, że zapewne zepsuł się parowóz i nastąpiła zmiana. Czekałem długo, pociągi przejeżdżały na bieżąco przez stację. Myślałem, że przyjedzie jakiś parowóz i pojedę. Było mi za długo czekać, zaplanowałem podejść pod budynek stacyjny, by zobaczyć, która godzina. Jeżeli dobrze pamiętam, było to 10 po godz. 4.

Nie było widoków na dalszą jazdę, zrezygnowałem z czekania, bo była pora szukać dziennego lokum. Uszedłem z 500 metrów - trafiłem na wieś. Podkradłem się do najbliższego domu; w podwórku był mały budynek gospodarczy z normalnym oknem. Nie było widać ani doniczkowych kwiatów, ani firanek, sądziłem, że nikt tu nie mieszka. Wszedłem ostrożnie, gdyż drzwi nie były zamknięte na klucz. Namacałem garnki z mlekiem, potem wirówkę. Mając nauczkę - nie korzystałem z mleka. Posunąłem się jeszcze dalej, kopnąłem w coś, pomacałem buty, których było ze trzy pary. Ucieszyłem się. Wyszukałem po ciemku, by był lewy i prawy, przyłożyłem jeden do drugiego - ta sama wielkość. Uniosłem nogę przyłożyłem do trepa - mniej więcej ta sama wielkość. Były przy tych kamaszach i sznurówadła. Zabrałem więc tę parę butów i w obawie, że spostrzegą brak jednej pary - poszedłem polami na drugi koniec wioski. Wszedłem do ostatniego gospodarstwa do stodoły. Po drodze w polu zagrzebałem trepy i założyłem na nogi kamasz; były trochę luźne, ale można było wytrzymać. Zagrzebałem się w jeszcze nie wymłóconym zycie w siewie i przesiedziałem cały dzień oraz zjadłem resztę pożywienia. Cieszyłem się, że wreszcie się już przebrałem i pozbyłem trepów. Mimo tego i tak nie mogłem we dnie podróżować bo z butów, jakie wybrałem - lewy był brązowy, a prawy czarny i do tego wygolona na głowie sztrajfa w razie czego z miejsca by mnie zdradziła. Dlatego musiałem unikać w dalszym ciągu ludzi.

Wieczorem wyszedłem ze stodoły, byłem głodny. Zacząłem szperać po kopcach za marchwią przy tym i sąsiednim gospodarstwie. Natrafiłem na kopiec z brukwią, zabrałem dwie duże brukwie i udałem się do stacji kolejowej, na której zostawiłem pociąg z wagonem "nach Krakau". Pociągu tego już nie było. Obmyłem brukiew w

rowie kolejowym, rozlupełem, uderzając o szynę, na kawałki, zacząłem jeść i udałem się do semafora wjazdowego. Dokonałem eksperymentu z tarczą ostrzegawczą, potem z semaforem. Około godz. 22,30 odjechałem pociągami towarowym. Wsiadłem do węglarki załadowanej kamieniami. Pocieszałem się tym, że jadę torem, który kieruje mnie do ojczyzny. Brukiw wyrzuciłem, bo była tak niedobra, że mimo głodu reszty jej nie mogłem zjeść.

Ujechałem kawał drogi, przyhamowałem pociąg i wyskoczyłem, bo głód mi dokuczał i czułem, że całkiem jestem zmarznięty i słaby. Udało mi się raz, więc postanowiłem zaryzykować, wejść gdzieś do mieszkania i zdobyć coś konkretnego do zjedzenia. Wszedłem na podwórko w jakiejś wiosce, drzwi do mieszkania były zamknięte. Przyglądałem się przez szybę okna wewnątrz mieszkania i dostrzegłem na stole, który stał pod oknem, pół bochenka wiejskiego chleba. Nie miałem się jak dostać do tego chleba, ale znalazłem na podwórku drewno i wziąłem jeden kołek - ubzdurałem sobie, że jak energicznie końcem uderzę w szybę, to nie będzie bardzo słychać, i tak zrobiłem. Szybą wprowadziła chociaż narobiła strasznego brzęku, bo poleciała aż na posadzkę, ale nie patrzyłem na to, szybko sięgnąłem ręką po chleb. W tym czasie otworzyło się drugie okno na tej samej ścianie poza wejściowymi drzwiami i jakaś Niemka zaczęła się drzeć na całe gardło. Ja z chlebem pod pachą w nogi i uciekałem aż do toru kolejowego, a potem do następnej stacji. Wszedłem może z 5 kilometrów. Nagle wśród ciemności, w niedużej odległości spostrzegłem most i dość wysoko nad torem przeszła mostowa. W obawie, że most może być strzeżony przez wartę niemiecką oddaliłem się od toru w bok, by lepiej widzieć, czy nie chodzi wartownik. Kucnąłem na łące, przyglądałem się na most pod górę - zauważyłem, że jakby ktoś stał. Dla pewności poszedłem nad rzekę czy kanał może z kilometr, nie było żadnego mostu kołowego. Rozebrałem się do naga, epakowałem wszystko, co miałem razem z chlebem w jesionkę, i wpław przez rzekę o głębokości, jak się okazało, pod pachy. Przebrnąłem lodowatą wodę i po drugiej stronie się ubrałem. Potem, na ile mi tylko siły pozwoliły zacząłem biec, by się rozgrzać. Później było mi bardzo ciepło. Pojadłem chleba, popiłem trochę wodą z rowu, głód zaspokoiliem i poczułem się trochę jakby silniejszy. Szedłem jeszcze dość długo, nim się dostałem do semafora. Po dokonaniu manipulacji, wsiadłem znów do pociągu towarowego. Jechałem może z godzinę czy półtorej i zdawało mi się, że będzie zapewne nad ranem. Dłużej bałem się jechać. Było dla mnie ważne, że odjechałem dość daleko od tego miejsca, gdzie zabrałem chleb i narobiłem szumu. W godzinach rannych pociąg przyhamowałem i wyskoczyłem. Zacząłem szukać kryjówki, abym mógł spokojnie przesiedzieć cały dzień. Wśród ciemności widziałem jakieś kontury. Były to ruiny po cegielni czy jakiejś fabryce. Tam nie było gdzie się skryć. Idąc dalej, zobaczyłem jakieś gospodarstwo. Przeszedłem drogę brukowaną i wszedłem furtką na podwórko o dość dużych rozmiarach. Dom duży, jednopiętrowy, obora długa i ogromna stodoła. Sądziłem, że to jakiś bogaty gospodarz. Chciałem wejść do stodoły, nie mogłem, bo była zamknięta na dużą kłódę jak nigdzie. Zamierzałem wejść do obory - też pozamykana. Wreszcie w szczycie stodoły przy drodze, na dole pogęgiwały gęsi - też zamknięte. Jedynie nad gęsiami był strych z małymi drzwiczkami, który nie był zamknięty i stała podstawiona drabinka. Wszedłem po drabinie do góry na ten stryszek - było pełno siana. Zrobiłem dziurę w sianie i przykryłem się nim. Byłem bardzo zmęczony i mimo nerwów szybko zasnąłem. Nie wiem, jak długo spałem, gdy się przebudziłem było

zupełnie widne, a nawet od czasu do czasu pokazywało się słońce. Chwilami padał deszcz. Wylazłem ze swego legowiska, poczołgałem się po sianie do luki przewiewu w murowanej ścianie, by zobaczyć, co się dzieje na podwórku. I w tym momencie ujrzałem na schodach domu stojącego z gołą głową oficera SS.

W pierwszej chwili cały zdrętwiałem, ale oprzytomniałem i pomyślałem, że zapewne przyjechał na urlop. Może wieczorem gdzieś wyjdzie, ale jeśli będzie siedział w domu, to i tak się wydostanę. Powróciłem do legowiska, nakryłem się sianem i czekałem wieczora. Zasnąć jednak już nie mogłem. Sam widok SS-mana nerwy mi rozstroił.

Upłynęły prawie dwie godziny, dochodził mnie głos maszerującego wojska, jakby szli drogą brukowaną. Coraz to wyraźniej słyszałem tupot butów z gwoździakami. Zaniepokoiło mnie to i nerwy nie dały mi spokojnie leżeć. Wyszedłem z legowiska, podciągnąłem się do luztu przewiewowego w ścianie i, o dziwo! zobaczyłem, że to wojsko to jacyś jeńcy. Każdy z nich miał na plecach napisane czerwoną farbą duże litery "SU" i cała ta kolumna skręciła na podwórko. Ustawili się, a SS-man ich przeliczył. Przypuszczalnie było ich około 200 ludzi. Potem kilku zostało, a reszta weszła do jednopiętrowego domu. Wtedy zauważyłem, że okna tego domu są zakratowane. Ci, co pozostali, coś robili - prawdopodobnie oprząkali żywy inwentarz. Nie mogłem dokładnie widzieć, co robią, bo róg stodoły mi zasłaniał. W tym czasie doleciał mnie głos rozmowy po rosyjsku i już nie miałem wątpliwości, że to jeńcy rosyjscy. SS-man stał z automatem po środku podwórka. Nagle idzie jeden z jeńców w moim kierunku. Szybko schowałem się w siano w legowisko. Jeniec ten wszedł po drabince, zrzucił siano i zaraz zszedł. Byłem w strasznym napięciu. Po niedługim czasie zrobiło się gwaro na podwórku. Szwab krzyczał "ryhe". Wyjrzałem znów. Ustawili się i po przeliczeniu poszli prowadzeni przez SS-manów tą samą drogą. Zrozumiałem, że to jakaś gospodarka więzienna i jeńcy poszli do pracy. Wtedy nerwy i krew zaczęły we mnie działać. Zastanawiałem się, w jaki sposób tu wszedłem, że mnie nikt nie zauważył. Zadawałem sobie pytanie, czy wartownik spał, czy też nie mają warty w nocy na zewnątrz. Z tego dostałem temperatury, że wprost mi wargi zaczęły pękać. Przemyślałem, w jaki by sposób z tego więzienia się wydostać i w jakim czasie byłoby najbezpieczniej. Wyjście miałem tylko jedno, i to w kierunku podwórka. Około 17 czy 18 jeńcy znów zostali przyprowadzeni na podwórko; po przeliczeniu kilku zostało, reszta weszła do więzienia i wtedy zapaliło się światło. Okna były normalnej wielkości, więc dobrze widziałem, jak się myli, a potem przeszli do następnego pomieszczenia i rozstawiali miski na stołach. SS-man znów stał na podwórku i znów ktoś wszedł po siano, zrzucił na dół i zszedł. Niedługo zaczęło padać, a po paru minutach był to już ulewny deszcz. SS-man odszedł ze środka podwórka, być może się skrył przed deszczem. Coś mnie w tej chwili poniosło, zszedłem cichutko po drabince na dół, korzystając, że róg stodoły mnie zasłania, przedostałem się przez półtorametrowy parkan i brukowaną poszedłem wolnym krokiem około 50 metrów za stodołę. Potem przez pole w kierunku toru kolejowego. Miałem tak ogromne pragnienie, że z napotkanej kałuży piłem wodę. Ochłonałem już trochę z tego napięcia. Deszcz wkrótce przestał padać, więc ruszyłem nad torem, by dojść do najbliższego semafora; w dali przede mną leżało czerwone światło. Cieszyłem się, ale niestety, jak szedłem, tak szedłem, i nie mogłem dojść do czerwonego światła. Po upływie długiego czasu okazało się, że to były jakieś wysokie maszty, osygnalizowane czerwonymi światłami. Przemokłem doszczętnie, poobciera-

łem nogi, nie miałem siły iść i nie wiedziałem, jak jeszcze długo. A kilometrowy odcinek drogi kosztował mnie co najmniej 30 minut czasu. Wreszcie około północy doszedłem do semafora. Od czasu do czasu musiałem iść po rozmokłym polu, omijając przejazdy i niebezpieczne miejsca, to mnie jeszcze gorzej wyczerpywało. Dokonałem manipulacji jak zwykle z tarczą ostrzegawczą i semaforem. Z trudem doczekałem się i wsiadłem na pociąg. Około godz. 5 opuściłem pociąg, bo nadszedł czas szukania kryjówki na dzień. Tym pociągiem podjechałem w pobliże nie znanego mi miasta, orientując się znów po światłach, chociaż były przeważnie przyciemnione, ale jeszcze dobrze widoczne. Po opuszczeniu pociągu udałem się w kierunku jakichś zabudowań. Była to tylko sama stodoła w polu - niedaleko od toru. Nie mogłem do niej wejść, bo była zamknięta, a nie chciałem urywać kłódki, gdyż byłoby jasne, że ktoś był lub jest w stodole. Zrezygnowałem. Ponieważ było to w pobliżu miasta, przypadkowo natrafiłem na ogródki działkowe i znów zamieszkałem w jednej z altanek. Była zbudowana jak domek, miała kuchnię i komin. Miałem jeszcze chleb, głód mi tak nie dokuczał, ale zaczął mnie boleć żołądek. Z przyjemnością skorzystałem z polowego łóżka, które było złożone i stało pod ścianą w altance. Ze zmęczenia zasnąłem, ale na krótko, bo było mi zimno i do tego miałem przemoczone ubranie. Wpadłem na pomysł i gdy zrobiło się ciemno, poszedłem na tor do tarczy ostrzegawczej, a było niedaleko, i zabrałem jedną lampę z ogniem. Skryłem ją pod jesionką, by nie było widać światła, i przyniosłem do altanki, w której rozpaliłem ogień, korzystając z tyczek od fasoli. Były one pod ścianą i dachem. Lampę zaraz z powrotem odniosłem. Wracając włamałem się do innej altanki i znalazłem garnek. Po drodze, z kręgu betonu /widocznie służył do grzania wody i podlewania/, nabrałem wody, przyniosłem do rozpalonego ognia i zagotowałem, a potem nałamałem chleba i wrzuciłem do wrzętku. Zrobiła się zupa chlebowa, niesłona, ale gorąca. Najadłem się i dobrze rozgrzałem. Po kolacji uważałem, że już mogę wyruszyć. Po wyjściu z altanki okrążyłem miasto w dość wczesnych godzinach wieczornych. Po drodze napotkałem jakiś tor kolejowy, jednotorowy. Udałem się tym torem i doszedłem do przejazdu nie strzeżonego. Jeszcze przed przejazdem z lewej strony toru, gdzieś z kierunku pola, dochodził tor kolejki wąskotorowej. Od przejazdu tory te były ogrodzone wysokim parkanem cementowym. Trzymałem się szerokokotorówki. Za przejazdem tor ten w odległości kilometra się kończył, wchodził pod wysoki budynek stojący na filarach, pod którym były podstawione wagony. Widziałem kręcących się tam ludzi i blisko nie podchodziłem. Domyśliłem się, że to jakaś fabryka lub kopalnia. Do dziś nie wiem dokładnie, co to było. Nie było możliwości pójść dalej - więc wracałem do wspomnianego przejazdu. Zauważyłem, że naprzeciw mnie idzie dwóch wojskowych Niemców. Możliwości ucieczki nie miałem, zresztą i tak by mnie złapali lub zastrzelili, bo zaszliśmy się zbyt blisko. W dodatku byłem słaby, to i tak bym daleko nie odbiegł. Nie wiem, skąd mi nadleciała błyskawicznie myśl. Na szczęście leżała duża kupa złomu i obok stały dwa wagoniki na szynach. Nie zastanawiałem się ani sekundy, zacząłem ładować do tych wagoników leżący tam złom. Niemcy podeszli na wprost mnie, zobaczyłem, że są to żandarmi, ale tylko popatrzyli na mnie i bez słowa poszli dalej. Skoro odeszli w kierunku fabryki, o której wspominałem, ja, szybkim krokiem, ze spoconą ze strachu twarzą podbiegłem do nie strzeżonego przejazdu. Na wysokości fabryki niespodziewanie natrafiłem na stację kolejki. Gdy przechodziłem torem obok niedużego budynku stacyjnego, zauwa-

żył mnie kolejarz Niemiec, który wyszedł na próg swego biura i po niemiecku mówił, że nie wolno tu chodzić.

Choć po ezwabsku mówię niebardzo, ale bez namysłu, trochę spod nosa, odpowiedziałem, "Hern aba de chundet mejte", jednocześnie machnąłem ręką i poszedłem dalej. Niemiec się tym zadowolili i weszli do swego biura. Pot znowu wystąpił mi na czoło i zrobiło mi się gorąco, ale jakoś przeszło. Za stacyjką około 300 metrów tor kolejki skręcał w lewo gdzieś w pole, tak że nie odpowiadał mi kierunek. Udałem się w prawo, gdzie było widać światła. Po drodze spotkałem na dość wysokim nasypie tor kolejowy. Widocznie po nim pociągi nie jeździły, bo szyny nie były wytarte od kół pociągu. Udałem się znów tym torem, akurat w kierunku światła, które poprzednio widziałem.

Szedłem ze 2 kilometry i doszedłem do stacji kolejowej, położonej poprzecznie do toru, po którym szedłem na dole, lecz tor ten przebiegał mostem nad torami stacji gdzieś dalej. Zszedłem z nasypu, obezdałem z dala, upatrzyłem najdogodniejsze miejsce, na dojeździe do stojących na stacji składów wagonów. Szperałem po nalepkach kierunkowych na wagonach. Chwilowo nie mogłem natrafić na nazwę stacji, którą bym znał. Wreszcie, w następnym składzie, znalazłem wagon, na którym była nalepka z napisem stacji docelowej "nach Petrikau". Czyżby rzeczywiście do Piotrkowa Trybunalskiego? Była to węglarka, więc zająrzałem, czym jest załadowana? Była pełna odłamków szkła z szyb i innymi. Wiedziałem, że w Piotrkowie jest huta szklana, więc już nie wątpiłem, że pojedzie do Piotrkowa Trybunalskiego. Na wszelki wypadek zdjąłem jeszcze jedną nalepkę z sąsiedniego wagonu-platformy i wyczytałem "nach Tchenstochou". Wagon do Częstochowy był załadowany pionowo kręgami drutu tak, że trzy rzędy drutu stworzyły trzy rury. Postanowiłem się tych wagonów trzymać. Wszedłem do środkowej rury z kręgów drutu na wagonie bojąc się, że w pierwszej z brzegu mógłby mnie zauważyć jakiś kolejarz. Czekałem dosyć długo. Zmarzłem, ale siedliska w drutach nie opuszczałem. Wreszcie doczepili parowóz i wkrótce pociąg ruszył. Jechałem dosyć długo, lecz od czasu do czasu pociąg się na krótko zatrzymywał. Po pewnym czasie wjechałem na dość dużą stację, ale z kręgów drutu nie wychodziłem. Następnie cały ten pociąg wciągnięto na górkę rozrządową, by dokonać manewrów z wagonami. Potem jeszcze kilka razy przetaczano wagon, w którym siedziałem. W końcu sformowano cały skład. Myślałem, że odjadę, niestety, cały ten skład wypchnęli na inny tor i bez lokomotywa stał długo na torze odjazdowym, gdzieś w końcu stacji. Deszcz dość mocno padał, byłem zupełnie przemoczony i zmarznięty. Nie mogłem już wytrzymać dłużej, zaryzykowałem opuścić wagon-platformę. Skryłem się w budce hamulcowej przy wagonie krytym, usytuowanej wysoko, w tym samym składzie pociągu.

Przesiedziałem tam może 15 do 20 minut, nagle słyszę, idzie ktoś obok wagonów. Coś postukało jakby po kołach i wreszcie wchodzi ktoś po schodkach do góry, gdzie siedziałem, w budce hamulcowej. Zadrżałem ze strachu. Nie wiedziałem, co robić, ale natychmiast oprzytomniałem i złapałem go ręki żelazny płaskownik, który wiozłem jeszcze z fabryki Kruppa. Otwierają się drzwi budki i po polsku: "A co pan tu robi? Zostaw pan to żelazo". Ja pytam: "A kto pan jest, Polak czy Niemiec?" On mi odpowiada: "Polak, nie widzi pan, że kolejarz. Jestem rewidentem wagonów, ale dokąd pan chce jechać?" Jakieś takie poczułem zaufanie do tego kolejarza i zapytałem, co to jest za stacja. Odpowiedział, że Łazy. Podziękowałem i pytam, gdzie jest granica Rzeszy i Generalnej Guberni.

"W Poraju - odpowiedział - 40 km za łązami. Ale skąd pary jedzie?". Odważyłem się wyznać mu szczerze całą moją sytuację i powiedziałem, że uciekłem z obozu koncentracyjnego, udowadniając wygoloną sztrajfę na głowie. "W Poraju pociągi kontrolują" powiedział i zaproponował mi by wejść w węgiel, a on mnie przykryje. Próbowałem, ale nie było możliwe wysiedzieć i wytrzymać ciężaru na plecach. Wyszedłem i wpadłem na pomysł, żeby wejść do wagonu krytego, oczywiście ładowanego i zaplombowanego. Wagon z budką hamulcową gdzie poprzednio siedziałem i w której mnie wykrył kolejarz,jechał do Grodziska pod Warszawą. Wszedłem na schodki budki hamulcowej, wybiłem okrągłą szybę, jaka była w klapie luki wagonów i odbiłem deskę, którą cała kłapa była od wewnątrz zabita. W wybitą szybę włożyłem rękę, odchyliłem zasuwę i kłapa okna wagonu otworzyła się do wewnątrz. Pomógł mi kolejarz, znalazłem się w środku wagonu, gdzie były jakieś paczki. Jedną zaraz rozerwałem, była to soda w szarych torebkach po 1 kg. Kolejarz wyciągnął woreczek zza pasa i podał mi, bym mu naładował. Naładowałem, ile weszło, powiedział, że zaraz wróci i przyniesie mi coś do zjedzenia. Umówiliśmy się, że zastuka w zderzak trzy razy, a w międzyczasie kazał mi splądrować, co jeszcze w tym wagonie jest i by mu jeszcze coś naszykować z wyjątkiem sody. Był to ładunek z różnych towarów: rur do kuchenek, gwoździ, kolan do rur, sienników papierowych, szczotek do zmiatania i butów, termosów i jeszcze innych rzeczy. Wkrótce kolejarz wrócił i przyniósł mi kawy z mlekiem, do tego słodzonej, i chleba z margaryną. Ja w zamian załadowałem mu worek szczotek do zmiatania wraz z kilkoma termosami i na tym się wymiana zakończyła. Uprzedził mnie jeszcze, że już więcej nie przyjdzie, bym przypadkiem nie otwierał luku na jakiś nieprzewidziany stuk. Wkrótce potem doczepili parowóz i w niedługim czasie pociąg odjechał. Do Poraju było 40 km, miałem trochę czasu, więc zabrałem się do roboty, pozamykałem i zabiłem deskę na okno wagonu, by nie budziło podejrzenia, że może ktoś być w wagonie. Wprawdzie brak było w klapie okna wagonu jednej okrągłej szybki, a było ich dwie, ale druga pozostała w porządku. W czasie jazdy z łąz do Poraju, przygotowałem sobie w ładunku wagonu wejście w głąb, niemal do podłogi wagonu, a następnie zjadłem podarowany mi przez kolejarza posiłek. Nie wiedziałem, czy przypadkiem na granicy nie rozplombują wagonów, czego się bardzo bałem, ale zarazem się pocieszałem, że mam dobre schowanko w głębi ładunku. Czas mi się dłużył, ale wreszcie pociąg się zatrzymał. Nie byłem pewny, czy to Poraj, czy inna stacja. Godziny nie znałem. Na wszelki wypadek zakopałem się w głębi ładunku. Po około 20 minutach usłyszałem rozmowę niemiecką. Naraz buch, buch, ktoś wali jakby pięścią w ścianę czy drzwi wagonu, w którym siedziałem. Drżałem cały ze strachu zatrzymując oddech, gdyż wydawało mi się, że mnie usłyszą. Słuchałem, czy aby nie otwierają drzwi wagonu. Po chwili doleciał mnie głos, podobny do psiego skowyczenia czy ziewania. Poczułem się jeszcze gorzej i spociłem się jak mysz, bo myślałem, że pies mnie może wyczuć. Wagonu nie otwierali na szczęście. Naraz słyszę, że ktoś wchodzi po schodkach do budki hamulcowej, która była przy tym wagonie. Wreszcie ucichło i zapanowała cisza. Pomyślałem, że chyba już odeszli. Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie pociąg ruszy w drogę, wydawało mi się, że stoi on już cały dzień. Upłynęło jeszcze dość dużo czasu, kiedy nareszcie pociąg szarpnął i ruszył. Odjeżdżając, wyrzuciłem przez szybę po przeciwnej stronie wagonu, gdzie wchodziłem. Jednak był to Poraj. Ulżyło mi na duszy, strach mnie odleciał.

Jadąc już do Częstochowy, zastanawiałem się, jakim cudem znalazłem się na Śląsku. Przyszedłem do wniosku, że jednak gdzieś zblądziłem i pojechałem w złym kierunku. Lecz mimo wszystko tamto już dla mnie nie było ważne, cieszyłem się, że mnie do tej pory nie złapali, i że jestem prawie już w znanej mi nieco okolicy, jak Łazy, Częstochowa. Liczyłem wtedy na to, że szczęśliwie dojadę w okolice Koluszek, mając już poza sobą całą gehenną podróży. Około godz. 15 czy 16 dojechałem do Częstochowy. Wyglądało na to, że dokonują manewrów przy odczepianiu, a może i doczepianiu wagonów, gdyż dało się odczuć szarpnięcia składem pociągu. Straciłem całkowicie orientację co do daty i dnia tygodnia. Po pewnym czasie pociąg ruszył i odjechałem z Częstochowy. Wówczas na całego zacząłem plądrować w ładunku. Okazało się, że nic więcej nie było, niż poprzednio znalazłem. Był wieczór, gdy przyjechałem do Piotrkowa Trybunalskiego. Pociąg zatrzymał się na stacji towarowej. Po dokonaniu prawdopodobnie manewrów z wagonami, co trwało mniej więcej około dwóch godzin, odjechałem z Piotrkowa Trybunalskiego.

Teraz zastanawiałem się, gdzie wysiąść z pociągu i dokąd pójść, aby było bezpiecznie. Rodzice moi mieszkali pod Koluszkami, w Będzielinie, dom stał pod lasem, pomyślałem, że tak od razu, nie znając sytuacji, niebezpiecznie jest iść do domu, który może być pod obserwacją. Postanowiłem, że pójdę do wujka we wsi Pogorzałe-Lugi, tj. 5 km przed Koluszkami. Jadąc z Piotrkowa przygotowałem sobie do zabrania kilka termosów, kilka szczotek do zamiatania na kij i jeden papierowy siennik.

Około godz. 21 przejechałem przez stację Rokiciny, otworzyłem lukę wagonu, którą wszedłem, i nogami naprzód wysunąłem się na zewnątrz, wisząc z boku wagonu. Wreszcie prawą nogą namacałem Schodek prowadzący do budki hamulcowej tuż przy narożniku wagonu, a drugą nogą koniec szyny, po której suwały się na kółkach drzwi wagonu. Potem lewą ręką trzymałem się ściany w otwartej luce wagonu, a prawą pojedynczo powykładałem szczotki i termosy oraz siennik na podłogę budki hamulcowej. Kiedy wisiałem z boku wagonu, strach mnie ogarnął, by przypadkiem po sąsiednim torze nie nadjechał pociąg, bo wtedy mógłby mnie czymś zaczepić za łachy. A popełniłem głupstwo, że nie zdjąłem jesionki, tylko w niej wychodziłem z wagonu. Luki nie zamykałem i już w budce powkładałem wszystko do siennika.

Ponieważ wkrótce znalazłem się w pobliżu na wprost zabudowań wujka, który mieszkał 300 metrów od toru, przyhamowałem pociąg i z przygotowanym pakunkiem wyskoczyłem. Przebiegłem pas pola nad torem i skryłem się w świerkach, które rosły przy torze. Pociąg powoli odjechał, a ja wraz z pakunkiem udałem się do zabudowań wujka. Wszyscy już spali. Furta była zamknięta, nie mogłem wejść na podwórko, delikatnie więc rzucałem pacynkami ziemi w szybę. Przebudziło to wujka, podeszedł do okna, zapytał, kto tam, ale nie otwierał. Ja półgłosem prosiłem, by mi otworzyli, krzyczeć nie mogłem, bo po sąsiedzku mieszkał folksdojcz. Wreszcie córka wujka poznała mnie po głosie i w pośpiechu wpuścili mnie do mieszkania. Zjadłem skromną kolację i udałem się spać do stodoły, oczywiście już pod pierzyną i po uprzednim umyciu się i zmianie bielizny. Spałem w stodole dlatego, że często przychodził ktoś do wujka od folksdojczy.

Nazajutrz rano córka wujka pobiegła do drugiego wujka, który mieszkał niedaleko komory celnej, by przyszedł ktoś od niego z maszynką do włosów. W niedługim czasie zjawił się najstarszy syn, Zygmunt Smarz. On mi ostrzygł głowę "na pałkę" i pozbyłem się

sztrafny. Był to 28 listopada 1944 r. Powiadomiono także i moją matkę, która pośpiesznie przyszła i przyniosła mi moje ubranie wraz z butami, dzięki czemu rozstałem się ze zdobytymi butami, z których lewy był brązowy a prawy czarny.

Radości, jaka zapanowała w rodzinie i spotkania z matką nie będę opisywał, zapewne każdy to sobie wyobraża. Mama moja zapewniała mnie, że nie ma podejrzenia, aby ich dom był pod jakąś obserwacją, i prosiła, bym poszedł do domu choć na trochę, bo ojciec leży chory. Zaryzykowałem i poszedłem, wprowadziłem na krótko wieczorem i tylko jedną noc przenocowałem, gdyż jednak bałem się, że mogą mnie szukać. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak blisko jest front, i że tak szybko szwabów przepędzą. We wsi Stare Koluszki miałem krewnego Stanisława Dziedzińskiego i tam się ukrywałem. Potem zachorowałem na zapalenie płuc, leżałem przez 3 tygodnie i dopiero po długim leczeniu jakoś się wykaraskałem. Ale musiałem od Dziedzińskiego uciekać, bo najechało się Niemców do lasu i do wsi, było ich dużo, w ogóle ruch się zrobił. Byłem niepewny u krewnych, zresztą i oni sami o siebie się bali. Przeniosłem się bliżej Koluszek do znajomych, do pana Długosza, i u nich na strychu spałem. Rodzina przynosiła mi jedzenie, ale moi gospodarze także mnie żywili.

18 stycznia 1945 r. byłem już zupełnie wolny. Zawdzięczam to Armii Czerwonej, która w tym dniu rano wyzwoliła Koluszki, a mnie ocaliła przed śmiercią i przyniosła mi wolność.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.4